KOSZTOWNI DOBRODZIEJE.

Kazimierz Laskowski.

KOSZTOWNI DOBRODZIEJE.

Sylwetki z bruku.



WARSZAWA.
NAKŁADEM KSIĘGARNI
DUBOWSKIEGO i GAJEWSKIEGO.
30. Chmielna 30.

1897.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 27 Августа 1896 года.

Druk P. Laskauera & W. Babickiego. Warszawa, Ś-to Krzyzka 11.

J. KALCHASGRÜN.

(Meble na raty).

Dlaczego celibat liczy tylu zwolenników? nie rozumiem! Przekonany nawet jestem, że hymenofobia nie wynika z przyczyn wyłącznie zależnych od brzydszej połowy rodzaju ludzkiego. Na dnie tej, mającej z przyrostem ludności związek sprawy leży jakaś zagadka, dotychczas przez żaden kwestyonaryusz nie rozwiązana. O rozwiązanie jej nie kuszę się bynajmniej; gdyby mię jednak spytano: «czyja wina?» pomimo wrodzonej uległości dla ziemskich aniołów, odpowiedziałbym:

— Wasza, piękne panie.

— Dlaczegóż?

— Z nader prostych powodów. Ponieważ druga strona, do której piszący te słowa zaliczać się ma nieszczęście, cierpi bez porównania więcej, przeto, gdyby to od nas zależało, niktby się dobrowolnie takiej katuszy nie poddał.

Nie przesadzam. Przedewszystkiem już sam brak tego «puchu marnego,» co życie na tym padole łez ukwieca, ta ustawiczna pogoń nerwów i serca za... za... najpiękniejszym tworem ziemi, ta nieugaszona pożądliwość serdecznego tętna, nurtująca «stan kawalerski» — toż to kara nad kary! cierpienia Tantala! a w dodatku... «pokój przy familii!!»

Któremuż z kawalerów nie stanęła kością w gardle taka kwatera... z «wszelkiemi wygodami, obsługą i samowarem?» Kto po dwugodzinnem słuchaniu gam, wygrywanych w sąsiednim pokoju przez utalentowaną dziatwę gospodarstwa, nie zamarzył choć na chwilę o własnem cichem gniazdku? kto nie zatęsknił do własnego rodzinnego ogniska? Kto? — pytam, biorąc na świadków wszystkich sublokatorów Warszawy. W tych warunkach zdeklarowany asceta, rozgoryczony śledziennik, zdziczały monoman, westchnąłby jeszcze do słodkich więzów hymenu i, gdyby to od niego zależało, wybrałby z dwojga złego mniejsze — żonę... nawet z dodatkiem teściowej.

Tak jest. «Pokój przy familii» w życiu bezżennych osobników rodzaju męskiego zastępuje w zupełności dziesięć plag egipskich. «Pokój przy familii» to codzienne tortury, składające się: z krzyku dzieci, egzercycyi na fortepianie, z kuchennego swędu «gospodarskich obiadów na świeżem maśle,» — to niewola wolnego człowieka, któremu spokoju «porządnego domu» naruszać nie wypada, — to męczeństwo, przy którem zrzędzenie teściowej wydać się może uśmierzającym kataplazmem.

A takich męczenników liczy Warszawa co najmniej dziesięć tysięcy. Za dokładność liczby nie poręczam, gdyż nie mam pod ręką urzędowych danych statystycznych; w każdym jednak razie nie mogę się dopuścić zbyt rażącej pomyłki, gdyż obliczenia swe oparłem na ilości kart, wywieszanych co miesiąc z zawiadomieniem: «*dla kawalera spokojnego charakteru w każdym czasie pokój do odnajęcia*,» jako też na łaskawie

udzielonej mi informacyi przez pana Kalchasgrüna, prawdziwego dobroczyńcę kawalerskiego stanu, posiadacza prześlicznego składu mebli z «wypłatą na raty.»

— Na «raty?» Nie widzimy w tem dobrodziejstwa—gotów ktoś niewtajemniczony powiedzieć.

— Za pozwoleniem. Powtarzam po raz drugi, że pan J. Kalchasgrün jest największym dobroczyńcą wszystkich «bezżenników» (tak zwykł nazywać kawalerów), chociaż ma i inną, więcej solidną klientelę.

Wracam do założenia.

Kto w większości wypadków wynajmuje «pokoje przy familii?»

Kawalerowie nie mogący się ożenić z powodu braku środków materyalnych, kawalerowie nie żeniący się z obawy teściowej, kawalerowie nie mający na razie funduszu na kupno mebli.

Oto lista skazańców, znanych pod nazwą sublokatorów.

Czyż więc nie jest prawdziwym dobrodziejem ten, kto wyrywa tych biedaków z niewoli *porządnej rodziny,* kto udziela im możności

przepłynięcia bezpiecznie między Scyllą a Charybdą, między «pokojem umeblowanym przy familii» a... teściową?

Pomniki za życia stawiać takiemu altruiście! a jest nim właśnie p. J. Kalchasgrün, którego pomocy spokój kawalerski, otomanę, cztery gięte krzesełka, stolik do kart i umywalkę na trzech nogach zawdzięczam. Winien mu jestem za to wdzięczność dozgonną i 18 rubli niedopłaconych rat, na które on ma *już* prawomocny wyrok, ja zaś nie mam *jeszcze* pieniędzy.

Ponieważ niedowiarstwo, wada brzydka, zapuściła tak głęboko korzenie w rdzeń społeczny, że dziś bez dowodu lub świadka prawda najświętsza wiary nie znajdzie, przeto zarówno dla wygody mogących się znaleźć w położeniu mojem, jak i dla przekonania niewiernych, niniejszym opisem chcę czynom p. J. Kalchasgrüna dać jak najszerszy rozgłos i świadectwo.

Mieszkałem wtedy «przy familii,» złożonej z ojca rodziny, zajmującego się w chwilach podniecenia rozbijaniem lamp o podłogę, pani domu, przypominającej z głosu sokratesową Ksantyppę, i trojga «cudownych» dzieci. Papa, członek

nadzwyczajny warszawskiej orkiestry, występujący czasami w Bagateli w roli kontrabasisty, od kolebki wdrażał w nieletnią progeniturę talent muzyczny.

Najstarszy, 9-letni Józio, miał, zdaniem rodziców, zakasować z czasem Józia Hoffmana; młodszy rokiem, Jaś, zapowiadał *drugiego* Barcewicza, a o jedynaczce, Kloci, cała kamienica wiedziała, że to *przyszła* Patti, a co najmniej Russel!

Przy akompaniamencie brzęku talerzy i szklanek, łoskocie siekanego na zrazy mięsa, kształciła się artystyczna drużyna od rana do wieczora. Prócz tego w niedziele i święta miewałem bezpłatne popisy «cudownych» dzieci wobec zaproszonych gości.

Pewnego dnia, właśnie po takim koncercie, postanowiłem nieodwołalnie porzucić dotychczasowe *locum standum* i przenieść się do mniej utalentowanej rodziny. Po skrupulatnem obliczeniu środków okazało się, że rozporządzany fundusz nie starczy na wynajęcie umeblowanego pokoju. Udałem się przeto do znajomego kapitalisty po skromną pożyczkę. Na szczęście trafiłem w dobrą chwilę. Zacności Chil Eselpferd,

po krótkiej pertraktacyi, w której firma Patka czynną odegrała rolę, zasilił mię gotówką, zapytawszy jednak uprzednio, na co mi potrzeba.

Opowiedziałem.

— Na co panu takie drogie mieszkanie? — rzekł na to interesujący się losem swoich dłużników kredytor. —Na co taki wydatek? Pan może mieć pokoik cacko za niecałe dziesięć rubli!

— Ależ meble!

— Ja panu dam meble... Za te pieniądze, co pan mniej zapłaci za lokal, będzie pan miał za niedługi czas własne *fein* mebelki... Czy pan nie zna pana Kalchasgrüna?

— Nie.

— Pan nie zna pana *Juliusza?* Cała Warszawa go zna! On bywa wszędzie... po południu w cukierni, wieczorem w Belle-Vue. Eldorado... gdzie pan chce! w najpierwszych domach! Mnie dziwi, że pan się z nim nie spotykał. On panu da, ja mu każę, eleganckie mebelki na wypłat i pan będzie siedział na własnych śmieciach, bez krzyku, bez hałasu, bez... dzieci. Chodź pan zaraz ze mną, ja pana przedstawię panu *Juliuszowi* i zrobicie sobie interes na poczekaniu.

Tak się też stało.

Pan Kalchasgrün przyjął mię bardzo grzecznie. Oprowadził po całym składzie, przyczem wygłosił pouczający referat «o dobroci mebli i niewypłacalności klienteli,» demonstrując prelekcyę przysiadaniem na wykwintnych kozetkach i przytaczaniem z imienia i nazwiska tych kundmanów, co dobroci jego serca nadużyli.

— Niech pan przypadkiem nie myśli — mówił,—że ja trzymam tandetną żydowską robotę... Po Kalchasgrünie to się nie pokaże. U mnie tylko sam katolicki wyrób... solidne wykonanie! Niech pan się spyta, kogo chce! choćby nawet tego urzędnika z przeciwka. On teraz mój wielki nieprzyjaciel: zaległ trzy raty i zrobiłem mu «tymczasowe zabezpieczenie,» ale i tak prawdę powie, że takich mebelków, jak u mnie, w całej Warszawie nie dostanie! Zresztą poco pytać?! Zrobimy z sobą interes, to się pan szanowny sam przekona...

Po tej przemowie, stanowiącej miłe *allegro* handlowego *potpouri,* wymieniwszy kilka urywkowych zdań z moim protektorem, Chilem Eselpferdem, przystąpił pan *Juliusz* do tranzakcyi.

— Ja panu co powiem—mówił.—Pan dobrodziej płacił dotąd osiemnaście rubli za mieszkanie, teraz potrzebuje pan płacić dziesięć... resztę można wydać na meble. Pan mnie da zaliczki 10%, pozostały dług rozłożymy na raty. Jak pan woli płacić: miesięcznie czy tygodniowo?

Zgodziłem się tygodniową wypłatę. Wybór mebli nie zajął nam dużo czasu. Wobec uprzedzającej względności pana Kalchasgrüna, popartej w dodatku racyonalną argumentacyą, przystałem na jego propozycye.

— Niech się pan *spuści na mnie* — tłómaczył:—ja wiem, co komu potrzeba! Sam jestem jeszcze kawaler... Dużo mebli... duża subiekcya przy przeprowadzce... koszt duży... Ja panu dam otomankę *omnibus*, ot tę!... proszę spojrzeć... cacko! Będzie z niej i łóżko, i rzeczy można schować i do siedzenia wygoda. Dam panu stolik... umywalkę i trzy krzesła...

Ostatni nabytek zwiększyłem o jedną sztukę, z przyczyny, że nigdy w winta w trzech nie grywam.

Nie opierał się temu pan Juliusz, uznając w zupełności słuszność przytoczonych przez waszego sługę powodów.

— Ma pan dobrodziej racyę, ja sam nie lubię grać z «dziadkiem» — potaknął. — Ja jeszcze co powiem. Zamiast zwyczajnego stolika, dam panu stolik do kart! Będzie także podwójny użytek. Śliczny stolik! sukno z łokcia, zielone jak Saski ogród, przytem antyk! Takich mebli już teraz nie robią. Proszę spojrzeć, jakie nogi, co za politura mahoń! Niech panu tylko dobrze posłuży. Życzę, żeby były same... *szlemy!*

Czyż podobna uprzejmość wymaga komentarzy?

Koniec końcem, przystąpiliśmy do obrachunku.

Traf szczególny! Suma należności równała się prawie co do grosza, oszczędności, uzyskanej na wynajęciu *nieumeblowanego* pokoju. Za otomanę policzył pan Juliusz pięćdziesiąt rubli; za stolik do kart dwadzieścia pięć, umywalkę oceniał piętnaście, a cztery krzesełka szesnaście, razem sto sześć rubli. Że zaś 10% zaliczka razem z marką wyniosła 11 rubli, pozostało przeto do spłacenia 96 rubli, które obowiązałem się uiścić w ratach dwurublowych co tydzień.

— Widzi szanowny pan — cieszył się, zacierając ręce, mój dobrodziej — widzi szanowny pan! jak się to ładnie składa! To, co panu zostało od mieszkania w kieszeni, akurat dla mnie wystarczy... jak bułka za grosz!

— Czy trochę nie za drogo? — wtrąciłem.

— Za drogo?! co pan mówi! — oburzył się czekający końca tranzakcyi Chil Eselpferd. — To jak znalazł! pan nie poczuje nawet, jak przyjdzie *do swoje mebelki.* A trzeba i to wiedzieć, że i kredyt będzie łatwiejszy, jak pan będzie miał coś własnego w domu.

— Za gotówkę mógłbym sprzedać taniej. Opuszczę całe pięć procent — dodał pan Kalchasgrün.

— Ja panu gotówką zapłacić nie mogę.

— To też właśnie. Niech pan dobrodziej sam obliczy... taka kapanina bez mała rok cały. A trafi się także, co u niejednego, z przeproszeniem szanownego pana, przepadnie i za swoją dobroć człowiek ma tylko stratę...

Niestety! skardze pana Juliusza poniekąd nie mogę odmówić słuszności. Przypomniały mi się jego słowa, kiedy po kilku miesiącach regularnej wypłaty, z przyczyny chwilowej niedy-

spozycyi pieniężnej, zaległem w wypłacie rat, zmuszając swego dobroczyńcę do wytoczenia mi skargi cywilnej o sumę osiemnastu rubli.

Przypominam sobie tę chwilę dokładnie.

— Wstydź się pan—mówił do mnie pan *Juliusz*,— takiej bagatelki nie zapłacić. Ja myślałem, że z pana porządny człowiek i dałem nawet bez *drugiego* podpisu, a pan mi zrobił niedelikatny zawód. Jeśli w przeciągu tygodnia nie odbiorę *swojej należności*, zabiorę *swoje* meble z powrotem.

Nie uczynił wprawdzie tego, gdyż na szczęście, które zawdzięczam wpływowej rekomendacyi Chila Eselpferda, przy zawieraniu tranzakcyi pan *Juliusz* odstąpił wyjątkowo dla mnie od zwykłej formy «*wydzierżawiania*,» poprzestając na zwykłym rewersie: «*winien jestem prostym długiem...*»

Żałował tego bardzo, na mocy bowiem stosowanego zwykle przy sprzedaży «na raty» kontraktu *dzierżawy*, mógł był poprostu zażądać *wypożyczonych* mebli, a tak zmuszony był poprzestać na «zajęciu» za sumę osiemnastu rubli.

Była to gruba omyłka ze strony pana Kalchasgrüna, którą sobie przy spotkaniu ze mną wyrzucał.

— Trzeba było—mówił, zeszedłszy do mego pokoju z komornikiem na *czynność* —inną z panem zrobić umowę. Należało napisać tak: « *Wypożyczyłem od pana Kalchasgrüna meble następujące: 1) otomanę, 2) umywalkę, 3) stolik do kart (antyk), 4) cztery krzesełka gięte—na warunkach następujących: Obowiązuję się tytułem wynagrodzenia za używanie mebli płacić co tydzień panu Kalchasgrünowi rubli dwa. Termin wypożyczenia mebli obowiązuje przez 48 tygodni. Jeśli w tym czasie nie zalegnę ani jednej raty, meble przechodzą na moją zupełną własność, w razie niewypłacalności pan Kalchasgrün ma prawo zażądać natychmiastowego zwrotu i kontrakt wypożyczenia zostaje rozwiązany, bez żadnej z mej strony pretensyi. Za całość wypożyczonego umeblowania odpowiadam całym swoim majątkiem i osobą.*» Podpis, i kwita! Tak trzeba było pisać. Toby się obyło bez pana komisarza, bez kłopotu. Ale mądry Polak po szkodzie!—wyrzekał.

Nie mogłem mu zaprzeczyć racyi, dziwiło mię jednak, że też same eleganckie meble, których przecież paromiesięcznem używaniem do tego stopnia nie zniszczyłem, uległy tak raptownej (że tak powiem) dewaluacyi, iż zaledwie na pokrycie należności starczyło.

Otomanę ocenił asystujący przy zajęciu z poręki p. *Juliusza* p. Feliks Wisłorybski (popularnie nazywany *Feluszem)* na rubli osiem, umywalkę na trzy, stolik do kart, właśnie dlatego, że antyk, na cztery, a cztery krzesełka po siedemdziesiąt pięć kopiejek za sztukę.

Dziwiło mię to, powtarzam; poważyłem się nawet na lekką opozycyę, powołując się na cenę kupna, lecz to nic nie pomogło. Opis ruchomości, sporządzony według zlecenia mego dobrodzieja, wykazuje jak na dłoni, że w przeciągu siedmiu miesięcy *wyleżałem, wysiedziałem* i *wymyłem* z wartości zakupionych mebli okrągło 98 rubli!

Ale co temu winien pan Juliusz Kalchasgrün, że ja szanować rzeczy nie umiem? Czy on mi kazał niszczyć meble? Spać tak twardo na otomanie, że aż sprężyny popękały?! Grywać po całych nocach w winta i psuć zielone jak Saski ogród sukno? Czy to jego wina, że każdy kawaler...

Ale lepiej o tem nie mówić. I tak za długo rozpisałem się *pro domo sua,* pora już wybiedz piórem na szersze horyzonty, rozejrzeć się w dobroczynnej działalności p. *Juliusza* poza obrębem kawalerskiej niesłowności, gdyż, jak poprzednio nadmieniłem, p. *J. Kalchasgrün* ma przecież i więcej solidną klientelę, którą niemniej z dobroci serca i altruistycznych przekonań obsługuje. Musi przecie odbić *straty na bezżennikach!*

Koń na czterech nogach potknie się czasem, cóż dopiero człowiek, który, jak wiadomo, tylko w dzieciństwie na czworakach chodzi!

Najmądrzejszemu zdarzy się głupstwo palnąć, najprzebieglejszemu omylić, najbiedniejszemu.. ożenić. Wypadki chodzą po ludziach. Niejeden biedak, przyciśnięty do muru na raucie, wpada bezwiednie w samotrzask małżeński, oświadcza się, prosi o rękę, zapominając (oj, ci Francuzi!) o francuskiem przysłowiu: «że kto się najlepiej ożenił, ten się jeszcze okpił.»

Dopiero gdy klamka zapadnie, kiedy już wszystkie *ciocie* lub *stryjenki* roztrąbią *nowinę* po mieście, kiedy znajomi zaczną mu winszować małżeństwa z *miłości*, przychodzi po niewczasie refleksya, budzi się świadomość rzeczywistości i przekonanie: że kto ma taki mebel, jak żona, powinien mieć i inne meble...

Szczęście to wielkie, jeżeli zbłąkane w matrymonialnych manowcach praprawnuczę Adama spotkało na drodze kawalerskiego żywota p. *Juliusza* Kalchasgrüna! Szczęście wielkie, jeśli znajomość z zacnym składnikiem mebli nie przeszła z *duumviratu* w *triumvirat* z komornikiem, bo wtedy znaleźć się może deska ratunku: dobroczynna dłoń p. *Juliusza* może przyjść z pomocą i puste ściany małżeńskiego gniazdka umeblować.

W takich wypadkach p. J. Kalchasgrün ni odmawia nigdy, chyba że na przeszłości młode go małżonka ciąży czarna plama «zaległych rat z czasów kawalerskiego żywota.

Pan Kalchasgrün lubi nawet w tym razi wygodzić, rozumując słusznie, że w każdej *parz* mieści się już *solidarność*, co niezmiernie wszel

ką tranzakcyę handlowo-pożyczkową, rzecz prosta, ułatwia. Niemniej ważnym względem, wzbudzającym w panu *Juliuszu* ochoczość do przychodzenia z pomocą meblowo-małżeńską, była i ta okoliczność, dowiedziona już praktyką kupiecką, że w małżeńskim stanie przeprowadzka lub też zmiana miejsca zamieszkania *incognito* (praktykowana często przez bezżenników) przytrafia się dość rzadko, tak z powodu dzieci (choćby *in spe)*, jak z przyczyny innych zawikłań, którym stan kawalerski nie podlega.

Krótko mówiąc, wobec rzadkich wypadków «*fugas chrustas*» i możności uzyskania na miejscu *drugiego* podpisu, p. Kalchasgrün dawał świeżo pobranym meble na raty z całą, jak mawiał, przyjemnością. Aby jednak nie okazać się stronnym i nie uchybić kawalerskiej klienteli, w obrachunkach pieniężnych i formie kredytu trzymał się jednych i tych samych zasad.

Wydzierżawiał eleganckie meble, które dopiero po spłaceniu wszystkich rat dzierżawnych przechodziły na *własność* dzierżawiących: w razie zaś uchybienia terminu wracały z powrotem w posiadanie pana *Juliusza*.

Czasami, prócz takiego kontraktu, brał p. J. Kalchasgrün weksel z podpisem obojga małżonków *na pewność,* niekiedy zaś *sprzedawał od razu,* lecz z chwilą wprowadzenia mebli robił zaraz «tymczasowe zabezpieczenie» na wszystkich ruchomościach i garderobie.

Robił to także wyłącznie dla *pewności,* aby później subiekcyi nie było. Za zgodą małżonków przed dostawieniem mebli uzyskiwał «wyrok» na sumę długu razem z procentami rocznymi i kosztami sądowymi i kładł areszt na wszystkiem, co było.

— Co to państwu szkodzi? — mawiał. — To prosta formalność! Miałoby się to stać później, lepiej niech będzie przedtem. Co z głowy, to z myśli... Co to może szkodzić? Nikt o tem wiedzieć nie potrzebuje... Odpisze się każdą ratę na wyroku... Czy odpisywać na kwicie, czy na gotowym wyroku, czy to nie jedność? Niech państwo się nie boją! To żaden wstyd... prosta formalność, nic więcej. Pan komornik słowa nie powie. Ja go znam, to bardzo *milczący* człowiek!

Jeśli jednakże mam być w zupełności szczerym, to przyznać muszę, iż najsympatyczniejszą

klientelą dla pana *Juliusza* był również stan bezżenny czy bezmężny (na razie nie umiem dobrać odpowiedniego przymiotnika), tylko płci słabej.

Pan J. Kalchasgrün, ładny mężczyzna (zwłaszcza w faworytach było mu bardzo do twarzy), był, że tak rzeknę, najżarliwszym pionierem i rzecznikiem *feminizmu.* Stwierdzał to nie gołosłowną teoryą, lecz praktyką, popartą dokumentami życiowymi.

Niedość, iż najchętniej *meblował* zgłaszające się doń córy Ewy, idące przez życie «o własnej sile,» ale nawet nie szczędził trudu na wyszukanie oddanych ukochanej «idei» indywiduów... nie należących do poboru wojskowego.

Jak to już na innem miejscu nadmieniłem, p. J. Kalchasgrün bywał stałym gościem w «Belle-Vue» i w «Eldorado.» A nie bywał tam przecie wyłącznie w celu przyjemnego przepędzenia wieczoru! Nie! Dla ludzi idei chwile wypoczynku i rozrywki nie istnieją.

Pan *Juliusz,* łącząc przyjemne z pożytecznem, przy sposobności przychodził z pomocą

bliźnim (rodzaju żeńskiego), rozszerzając zarazem zakres handlowych operacyi.

Nulla dies sine linea! — co się na polskie tłómaczy: «W każdem miejscu można zrobić interes!»

Pan *Juliusz* miał to na pamięci. Chodził i patrzył, a znalazłszy grunt podatny, bez straty czasu zawiązywał rozmowę i znajomość.

Po niejakim czasie składał pierwszą wizytę, a wzruszony ubóstwem mieszkania, występował z delikatną propozycyą:

— Pani się marnuje! Nawet nie wypada tak mieszkać. Ja pani dam śliczne mebelki na raty... Zrobimy apartamencik!.. cacko, że proszę siadać! Co to panią będzie kosztowało!.. bagatelkę! Zapłaci się samo... Ładny ptak potrzebuje gustownej klatki...

W tej sferze położył p. *Juliusz* niemałe zasługi, ułatwiając silniejszym charakterom kobiecym bytowanie na *odpowiedniej stopie.*

Oprócz moralnego zadowolenia, musiał na tem i materyalnie nieźle wychodzić, gdyż zwykł się był nieraz w zaufanem kółku zwierzać:

— Najlepszy interes z kobietami.. Nie zapłaci ona, to zapłaci jaki krewniak, kuzyn, opiekun... wszystko jedno! Nie miałem dotąd zdarzenia, żeby mi jeden grosz przepadł!

Panu *Juliuszowi* można wierzyć na słowo, że tak było w istocie, tem bardziej, że o rzetelności rezultatów świadczyło całe jego postępowanie.

Stosując się do pierwotnie obmyślanego planu, zjawiał się też p. J. Kalchasgrün po odbiór raty od dłużniczek najczęściej w porze, w której spodziewał się zastać kogo z krewnych—i robił *awanturę!*

Było to *comme de raison* niejakie ryzyko, mogące się skończyć wyrzuceniem za drzwi, jednakże przy «szczęśliwej ręce» pana *Juliusza* ewentualność ta się nie zdarzała nigdy. Przeciwnie, po *awanturze* następował pomyślny *skutek* pod postacią wyrównania zaległości.

Niema to jednak, jak *ciepło rodzinne!*

Niekiedy tylko, lecz bardzo rzadko, zawodziło p. Kalchasgrüna wyrachowanie, i to nie z jego, lecz z kontrahentki winy.

Wtedy oburzał się p. *Juliusz.*

— Co pani sobie myśli!?—wykrzykiwał podniesionym głosem.—Tak dłużej być nie może... Ja nie tylko panią mam na głowie. Kto chce ładnie mieszkać, musi pracować! Z samego leżenia nic nie przyjdzie, trzeba umieć koło ludzi chodzić...

Po takiej moralnej nauce groził odebraniem «mebelków» i wychodził zadąsany, trzaskając drzwiami.

Takie były dobrodziejstwa p. J. Kalchasgrüna, świadczone ludziom różnych sfer, płci, wieku i stanu *bezpośrednio. Pośrednio* był pan *Juliusz* również dobrodziejem podupadłych rodzin, samotnych wdów, bezdzietnych emerytek i t. d., a to w sposób następujący:

U osoby z odpowiednią kwalifikacyą zjawiał się p. J. Kalchasgrün i po krótkiej prezentacyi występował z handlową propozycyą.

— Ja pani dam ładny kawałek chleba — mówił do zamieszkałej np. na Tamce wdowy po konduktorze. — Dam pani mebelki, pani zrobi ogłoszenie w pismach, a jak się sprzeda, będzie pani miała swoje 10% rabatu! Co? zgoda?

Najczęściej w parę dni po wizycie p. Juliusza ukazywał się w dziennikach anons: «*Z powodu wyjazdu są do sprzedania meble solidnej roboty za bezcen!*» i t. d.

Czasem za powód sprzedaży służyła «*choroba,*» «*zmiana lokalu,*» «*śmierć*» nawet.

Bliżej znający interes p. Kalchasgrüna po przeczytaniu ogłoszenia domyślali się łatwo, iż traktat handlowy z wdową na Tamce został zawarty.

A teraz pytam ludzi bezstronnych: czy nie jest dobroczyńcą, kto biednej, *porządnej* wdowie da możność *uczciwego* zarobienia kilkunastu rubli?

Zdaje mi się, że w szeregu dobrodziejstw, wyświadczanych mieszkańcom syreniego grodu przez p. J. Kalchasgrüna, ostatnio przytoczone niepoślednie może zająć miejsce. Raz, że prócz cech czystej filantropii, tkwi w niem poszanowanie dla rzeczy starych, a więc dla tradycyi, powtóre, że odpowiada w zupełności zasobom społeczeństwa, zmuszonego oszczędzać, nastręczając temuż możność nabywania *przechodzowanych* gratów za bezcen!

Przypuszczam, że wymowniejszych dowodów przytaczać nie potrzebuję, gdyż zasadniczo

wykazałem: po pierwsze, że p. J. Kalchasgrün jest istotnym dobrodziejem ludzkości na terytoryum Warszawy; powtóre, że pan *Juliusz* jest dobrodziejem *kosztownym,* gdyż za jego dobrodziejstwa zapłaciłem w ciągu 7-u miesięcy 98 rubli; po trzecie, że wobec *takich* dobrodziejstw grzech celibatu nie obciąża nas, panów stworzenia, lecz...

Domyślcie się, piękne panie!

HERMAN REBOCHER.

(Specyalista od... teatru).

Źle się dzieje w dzisiejszych czasach sztuce dramatycznej lub raczej *teatralnej*, gdyż w określenie to należy wcielić wszystko, co się przy świetle kinkietów rodzi, a z zapuszczeniem kurtyny zamiera. Smutny ten objaw, świadczący o stęchliźnie pojęć estetycznych, o zaniku prawdziwych, czystych ideałów, zauważyć się daje tak w dramacie klasycznym, jak w komedyi salonowej, przejawia się zarówno w operze, jak operetce i, co gorzej, w *corps de* balecie z koryfejkami nawet!

Opera paryska zamyka budżet milionowym deficytem, pierwszorzędne sceny ratują się sub-

wencyami, impresaryowie bankrutują, teatry ogródkowe, pomimo wysiłków «kierowników artystycznych» i «większych» kufli piwa, z końcem sezonu posiłkują się *nachnahmą,* a artysta prowincyonalny pisze w liście do rodziny: «Po olbrzymiem powodzeniu w Kutnie *idę z Tuńką i monologami* do Kalisza.»

Źle się dzieje! Upadł kult piękna i artyzmu, materyalistyczne instynkty wzięły górę, podmuch Merkurego przygasił ogniska Talii i Melpomeny.

Jednakże... «i swego czasu śpiewak nie obwini!»

Nawet w obecnej dobie dekadencyi ideałów' zawichrzenia pojęć, wśród społeczeństw, wsłuchanych w brzęk kruszcu, oddanych gonitwie za złotym cielcem, trafiają się wyjątkowe organizacye z piersią przepełnioną czystą miłością sztuki «dla sztuki,» ratujące opuszczony sztandar artyzmu, przysypany popiołem obojętności tłumów, od zapomnienia pleśni. Ich to ofiarnością goreją znicze dramatycznego *feu sacré,* z ich pomocą rozbrzmiewają srebrne dźwięki tenorów i sopranów, ich poparciu zawdzięcza choreografia przynależne jej w dziedzinie... *ducha* stanowisko.

«Cześć wam i sława! o mecenasi sztuki!» Na właściwszy panegiryczny aforyzm zdobyć się w tej chwili nie umiem.

Cześć wam zatem i sława, mecenasi! Bez was niejeden «prawdziwy» talent nie postawiłby stopy na deskach scenicznych; niejedna «łezka w głosie» wyschłaby na patelni powszedniego życia, niejedna «powiewność» mogłaby skończyć na «otłuszczeniu,» spowodowanem zastojem.

Cześć wam i sława, dobrodzieje! a choć wiem, że za swe czyny, za zaparcie się dla dobra sztuki, w skromności ducha, nie żądacie innej nagrody, prócz wewnętrznego zadowolenia, bo to jest cechą wszystkich umysłów wyższych — przepowiadam *(utinam sum bonus vates!),* że was rylec historyi w jakim «Albumie teatralnym» lub «Gwiazdce scenicznej» nie pominie!

Nim to jednak nastąpi, pozwolę sobie na skreślenie nieudolnem piórem biografii jednego z najcichszych, lecz najzasłużeńszych dobrodziejów teatru, pana Hermana Rebochera, pracującego w tym interesie od czasów premierowego przedstawienia «Podróży po Warszawie.»

Czynię to z tem większą skwapliwością i namaszczeniem, że skromność pana Rebochera, przechodząca czasami w chęć utajenia przed światem podniosłych uczynków, mogłaby pozbawić potomność wybitniejszych szczegółów życia i spraw tyle zasłużonego sztuce mecenasa.

Jakim sposobem pan Herman Rebocher z drobnego kapitalisty przekształcił się w specyalistę od... teatru?

Gdybym się powołał na los, *fatum, ananke* — byłaby zapewne w tem określeniu cząstka prawdy, ale cząstka tylko, nie odźwierciadlająca dokładnie zasadniczych tych czynników, które na *mecenasowanie* Rebochera wpływ wywarły.

Lepiej przeto i zgodniej z istotą rzeczy uczynię, trzymając się własnego wyrażenia pana Hermana. Maluje ono wybornie przełomową chwilę «przebudzenia się lwa» artystycznego w klatce piersiowej nalewkowskiego kapitalisty.

Pan Herman Rebocher «*wpadł* w teatr!» Są to własne jego słowa, przy których blednie lakoniczna wymowa nieboszczyków Spartan!

Pan Rebocher «*wpadł* w teatr!» W tem wyrażeniu mieści się wszystko: ekspozycya, akcya,

rozwiązanie, przyczyna i skutek, motyw i teza! jest w niem kawałek dramatu, szczypta komedyi, urywek opery, fragment operetki, *pas de deux* baletu, jest cały «poranek artystyczny.»

Pan Herman Rebocher «*wpadł* w teatr!» A było to tak:

W poszukiwaniu niewypłacalnego dłużnika, którego nigdy w domu zastać nie mógł, zaszedł p. Rebocher pewnego razu na przedstawienie do Eldorado i został zachwycony!

Dłużnik wprawdzie wysunął się w tłoku nieznacznie, ale sztuka, a dawano «Trzydzieści lat życia szulera,» zajęła go niezmiernie. Odczuł intuicyjnie, że teatr to prawdziwa «szkoła obyczaju!» Idea *uobyczajenia* tłumów przez teatr zakiełkowała już wtedy w wrażliwym umyśle pana Hermana.

— Gdyby każdy z moich dłużników — rozmyślał, wróciwszy do domu, — zamiast grać w karty, przypatrzył się, co się to dzieje z «szulerem,» na pewno wolałby płacić długi, niż ryzykować w *sztosa!* Miałby *naukę!*

Zatem kostiumy, bižuterye artystek, dekoracye i inne teatralne akcesorya podobały mu się bardzo.

— To wszystko warte ładny grosz — rozważał, układając w głowie przypuszczalny szacunek.

Teatr ma to do siebie, że *ciągnie*. Rebocher, zasmakowawszy na «Trzydziestu latach życia szulera», w parę dni kupił *wejście* na «Sulamis,» a gdy zaczęto grywać «Podróż po Warszawie,» był już stałym gościem teatralnym, *Stammgastem!*

Opamiętał się jednak w porę, że częste *wejścia* kosztują zbyt drogo, lecz nie chcąc się pozbawiać dla «marnego kruszcu» duchowej rozrywki, wszedł zaraz w układy z *samym* dyrektorem i wyrobił sobie w zamian za drobną pożyczkę *passe-partout*.

To było pierwsze *wpadnięcie*.

Przy końcu sezonu pan dyrektor, mimo «szalonego» powodzenia, ujrzał się w konieczności zaciągnięcia nowej pożyczki.

Ponieważ system *nachnahmowy* nie był jeszcze wówczas rozpowszechniony, pan Rebocher *antiquo more* dał kilkadziesiąt rubli na zastaw garderoby i kostiumów.

To było *wpadnięcie* drugie. Dyrekcya zastawu w terminie nie wykupiła, zbankrutowawszy na prowincyi; towarzystwo po ostatniem «na ogólne żądanie Szanownej Publiczności» przedstawieniu przeobraziło się w «działówkę.»

Pan Rebocher *został* z kostiumami.

Był to pierwszy zawód, o tyle w dodatku przykrzejszy, że pani Rebocherowa, zrobiwszy przegląd zastawionej garderoby, przyszła do przekonania, że ani królewska szata Hamleta, ani obcisłe stroje dworzan, ani też chlamidy uczestników wojny trojańskiej, na powszedni użytek dla przeciętnych śmiertelników służyć nie mogą. Z całej kolekcyi błyszczącej przy świetle kinkietów odzieży wybrała zaledwie na ranny negliż dla siebie powłóczystą szatę «Pięknej Heleny,» aksamitny kostium pazia z «Maryi Sztuart» przerobiła na letni garniturek dla najmłodszego syna, a kilka tarlatanowych spódniczek z «Pani Angôt» zdołała zaledwie po gruntownem przenicowaniu zużytkować na firanki.

Reszta *została leżeć*, gdyż składnicy z Wołówki, ludzie prości i nie znający się na efektach teatralnych, stanowczo odmówili wszelkiej tranzakcyi.

Ludzie słabego charakteru, zrażający się lada przeciwnością, są jak chorągiewka, którą wiatr miota. Pan Rebocher nie był chorągiewką. «Pierwsze koty za płoty»—powiedział sobie i czekał drugiego sezonu. Kto umie czekać, ostatecznie zwycięża. Wytrwałość pana Rebochera zwyciężyła.

Nadszedł czas maskarad i tomboli. Pan Herman, po walnej naradzie z żoną, dał ogłoszenie do dzienników: «*są do wypożyczenia eleganckie kostiumy na maskaradę. Dyskrecya zapewniona...*»

Pomysł był dobry. Już po «trzeciej» rodzina Rebochera z zadowoleniem ujrzała się w posiadaniu kwoty, równającej się wysokości pożyczki, udzielonej na zastaw kostiumów nierzetelnemu dyrektorowi. W dodatku jeden z wypożyczających maskaradowiczów, rozdarłszy podczas *intrygi* efektowny kostium Jowisza (z «Orfeusza w piekle»), bonifikował panu Rebocherowi tytułem strat rubli dziesięć, co łącznie z nieuszkodzoną garderobą, tudzież zużytkowaną w rodzinnem kole, stanowiło już zysk czysty pierwszej teatralnej operacyi mego bohatera.

Panu Rebocherowi wrócił *smak* do sceny!

Jak to mówią: odwróciła się karta; zawiał wiatr pomyślny...

Jednemu z prowincyonalnych artystów dopisało wyjątkowe szczęście w stukułkę. Szczęśliwiec, znalazłszy się w posiadaniu dwudziestorublowego kapitału, postanowił założyć *własną dyrekcyę.*

Bibliotekę, złożoną z czterech bomb i jednej farsy, miał,—brakowało mu jedynie kostiumów, towarzystwa i teatru.

Audaces fortuna juvat!

Wybraniec fortuny (posiadacz dwudziestorublowego kapitału) bez straty czasu puścił się do Warszawy i trafił w szczęśliwą chwilę. Zaimponowawszy godnością postawy właścicielowi ogródka, zakontraktował teatrzyk na warunkach nader dogodnych. Niedość, że tenutę dzierżawną miał opłacać *z dołu*, ale nawet przy kontrakcie nie dał grosza zaliczki.

Jak komu idzie, to idzie!

Z kontraktem w kieszeni udał się pan dyrektor na giełdę aktorską do cukierni Bliklego, gdzie zafundowawszy kilka «czarnych» z ru-

mem, w parę godzin zorganizował wyborowe towarzystwo, rozdawszy między najlepsze «siły» na *à conto* czwartą część rozporządzalnego kapitału.

Miał więc teatr, miał artystów, brakowało mu jedynie wspólnika pracy dla dobra sztuki.

Zwierzył się z tem jednemu ze świeżo zaangażowanych, rutynowanemu artyście, który z niejednego pieca chleb jadał.

I znów traf szczęśliwy zrządził, iż tenże w ubiegłym sezonie, za poprzedniej dyrekcyi, zaznajomił się w antraktach «Sulamity» z panem Rebocherem.

— Mam dla *dyrektora* człowieka — odrzekł na interpelacyę:—poznałem go w zeszłym roku u tego idyoty Fornalkiewicza. Pyszny okaz! postawi dyrektor co «mokrego,» poczekamy... on tu niedługo nadejdzie.

Oczekiwanie nie trwało długo. W jakie pół godziny zjawił się pan Rebocher, zachodzący tu codziennie na pogawędkę artystyczną.

Po wzajemnej prezentacyi przystąpiono do interesu. Obie strony, ożywione jedną i tąż samą ideą, porozumiały się dość łatwo. Po krótkich

pertraktacyach, pan Rebocher objął posadę *kasyera* w nowej dyrekcyi na warunkach następujących:

Pan Rebocher przyrzekł zaforszusować pięćset rubli na koszta przedwstępne, wymówiwszy sobie, że regulowanie rachunków do wysokości zadeklarowanej sumy należy do niego. W zamian za to miał pan Herman na pokrycie przynależności pobierać z każdego przedstawienia do końca sezonu rubli dziesięć, prócz dochodu ze sprzedanych afiszów i dwóch rubli dziennie za kasyerstwo.

Innemi słowy, pan Rebocher za pożyczkę 500 rubli spodziewał się odebrać ze stu przedstawień rubli 1,000, miał nadzieję utargować za afisze około 50 rubli miesięcznie (a jak dobrze pójdzie, i więcej), a nadto kasyerstwo miało mu przynieść okrągłe 60 rubli miesięcznie.

Zapewne, że wobec oddawanych usług było to jeszcze niewiele, ale zapominać nie należy, iż pan Rebocher został zwykłym tylko «kasyerem,» nie zaś «kierownikiem artystycznym,» przeto w skromności ducha poprzestawał na mniejszem.

Zresztą każdy początek trudny.

Przytem należy jeszcze i to wziąć pod uwagę, że p. Rebocher, aczkolwiek z natury ryzykant, w tym wypadku nie ryzykował wiele.

Przedewszystkiem miał siedzieć w kasie, co już do pewnego stopnia ułatwiało zwrot forszusu, powtóre sam dysponował pożyczoną sumą, z której, rzecz prosta, zaliczył najpierw sobie za dostarczone kostiumy rubli sto, zostawało mu przeto do wyciągnięcia właściwie rubli czterysta i zyski.

— Choćby nawet na ten przykład — rozmyślał, zasiadłszy w pesymistycznym nieco nastroju pierwszy raz w kasie, — choćby na ten przykład w połowie sezonu urządzili «klapę» i tak nie stracę... A tak źle być nie powinno... Kobiety jak łanie! sama Stelka zrobi powodzenie...

To było trzecie z porządku *wpadnięcie* w teatr, *wpadnięcie* głębsze od poprzednich, lecz przynajmniej uwieńczone pomyślnym rezultatem.

Nie zawiodły wprawdzie złowróżbne przeczucia mego bohatera, dyrekcya urządziła «klapę» przed końcem sezonu, ale stało się to dopiero po siedemdziesiątem piątem przedstawieniu, z powodu drapnięcia primadonny przed samym spektaklem.

Bolał bardzo nad takim *skandalem* pan Rebocher, próbował nawet początkowo pójść przebojem i, przekształciwszy statystkę Ninę na koloraturowy sopran, wystawił «Sinobrodego» w «nowych,» jeszcze obciślejszych (dla oszczędności materyału) kostiumach, ale powodzenie, mimo usilnych starań Stelki, Tuńki, pomimo świetnej gry mimicznej Niny, nie powróciło.

Z prawdziwem rozgoryczeniem przystąpił tedy pan Rebocher do likwidacyi interesu. Wycofał wprawdzie łącznie z dochodem z afiszów i pensyą kasyerską około tysiąca rubli, ale reszta pozostała resztą!...

Po gwałtownej scenie z nieudolnym dyrektorem, zamknął wreszcie pan Herman sezonowe rachunki położeniem aresztu za *resztę* na bibliotece, dekoracyach i kostiumach i na odbytej niebawem licytacyi, w braku więcej dających, utrzymał się przy kupnie.

Nie mógł jednak zapanować nad oburzeniem.

— Panu suflerem być, nie dyrektorem! — rzekł w głębokiem uniesieniu do skonfudowa-

nego kierownika sceny — prawie w budzie siedzieć! Żebyś pan miał *samych Morozowiczów* nawet, to przy takim rządzie musiałaby być «klapa!» Poco się brać nie do swoich rzeczy! zarzynać porządnych ludzi! Co te łachy warte? Kto mnie odda moje pieniądze! Taka chórzystka... taka Stelka... lepiej chodzi koło interesu, niż pan. Winna mi była dwadzieścia pięć rubli... Spytaj się pan, czy nie oddała!? jeszcze *postawiła*... A pan? pan nie jest *dyrektor!* ale... *krowienty!* rozbitek! prawie panu na «Czystem» «w działówce» grywać!

Takie było pożegnanie pana Rebochera z dyrektorem.

Dotknięty w najdroższych uczuciach, mój bohater zarzekł się sceny, lecz artystyczna natura wzięła w końcu górę.

Nie wytrzymał długo. Wprawdzie od scen prowincyonalnych i ogródkowych odsunął się stanowczo, lecz z teatrem nie zerwał. Przeniósł tylko swą dobroczynną działalność na «sceny *stałe*.»

Już w zimowym sezonie widzimy pana Rebochera pod «filarkami,» gdzie zawiązuje znajomość z «filarami (obu płci) sztuki dramatyczno-wokalno-choreograficznej.»

Sic itur ad astra!

Do opisu dalszych poświęceń dla sztuki zaczerpnę wątku z autowspomnień pana Rebochera, popartych całym repertuarem kwitów, kwitków, sola-wekslów i innych tego rodzaju pamiątek, świadczących o pieczołowitem «mecenasowaniu» mego bohatera.

I w specyalności może być jeszcze specyalność! Jeśli w zbiorowej nazwie «szewctwo» mieszczą się dwa kunszty: męski i damski,—dlaczegóżby mecenasowanie w teatrze, «specyalność od teatru,» rozczłonkowaniu podlegać również nie miały? Wszakże taki podział może być przeprowadzony bez szkody dla *hurtowej* specyalności i bez ujmy dla samego specyalisty, o ile tenże w swoim fachu jest dostatecznie wykwalifikowany!

A że właśnie pan Rebocher był w tym kierunku wysoce wykwalifikowanym specyalistą, mógł sobie przeto pozwolić na specyalność w specyalności i jeszcze na trzecią specyalność. Jako «specyalista od teatru» wogóle, był pan Herman

przedewszystkiem mecenasem *damskim,* a głównie *baletowym.*

Nie chcę przez to powiedzieć, aby mój bohater, rządząc się nepotyzmem, faworyzował jedynie żeńsko-teatralne filary, lub, co gorsza, zaniedbywał zupełnie dramat, komedyę, operę—dla baletu... Bynajmniej! Zaznaczam jedynie, iż pan Rebocher, chociaż nie stronił od golącej twarz połowy rodzaju ludzkiego, z większą jednak pieczołowitością zwracał się ku płci pięknej.

A miał do tego najzupełniej uzasadnione przyczyny, z najczystszego zamiłowania sztuki wypływające.

Po pierwsze — ponieważ płeć piękna, inaczej zwana słabą, już jako taka, wymaga większej i częstszej pomocy bliźniej; powtóre, że (jak to już Heine w rymach opiewał) najpiękniejszą «sztuką piękną» jest piękna kobieta, co we wrażliwych na piękno umysłach zawsze przechyla szalę na stronę kwintesencyi przyrodzonego piękna; po trzecie, iż urok tego piękna potęgują zwykle jeszcze... biżuterye, podnoszące blask

wrodzony gwiazd scenicznych, co w obozie przeciwnym rzadziej zauważyć się daje.

Odnośnie do predylekcyi baletowej pobudki nań wpływające w krótkich słowach przedstawił najlepiej sam Rebocher, mówiąc:

— Komedya... ładna rzecz! dramat niczego... w «Małym» także zabawić się można... ale niema jak balet! Nie trzeba sobie psuć głowy... od razu widać, co jest!

Niepodobna jaśniej określić sytuacyi!

Mając tego rodzaju wytyczne, pan Rebocher przedewszystkiem starał sie podtrzymywać teatr ze strony *słabszej* i oddał w tym kierunku rzetelne usługi sztuce, gdyż, jak to mówią, znał się na rzeczy. A nie była to kompetencya powierzchowna.

— Dość mi raz widzieć, a już wiem, co jest— zwykł był opowiadać pod «filarkami,» gdy pogawędka przeszła na artystyczne tory. —Z pierwszego debiutu zgadnę, co będzie. Pamięta pan, jak występowała pierwszy raz Iksińska? Poszedłem do teatru... jakem tylko zobaczył, że w pierwszym rzędzie krzeseł siedzą «same hrabie» i lor-

netują, to zaraz wiedziałem, że ona ma talent! I co? proszę teraz czytać, co o niej *piszą*...

Przykładów podobnego znawstwa mógłbym przytoczyć więcej, poprzestanę jednak na tym jednym, jako dostatecznie przekonywającym, i wracam do biograficznego jądra.

Najpiękniejszy kwiat więdnie bez rosy ożywczej, największy talent marnieje w braku środków. Ileż to już *duchów podniosłych* padło zmrożonych oziębłością ludzką! a przeciwnie, ile *zarodu sławy* przez pomoc w porę udzieloną rozrosło się w *pnie rozgłosu!*

Nie szukając daleko, działalność pana Rebochera dostatecznych na to dostarcza dowodów.

Nie będąc zwolennikiem subjektywnych wyłuszczeń, zachowam *incognito* co do nazwisk, wyszczególniając jedynie rodzaje, gatunki i sposoby Rebocherowej pomocy.

Rzecz prosta, że pieniądz, ów talizman naszego wieku, przeważną w nich odgrywał rolę.

Pan Rebocher udzielał pomocy pod różnemi postaciami.

Pożyczał w krytycznej chwili na prosty kwit lub weksel z małym (pięć na miesiąc) pobieranym, dla pamięci, z góry procentem, czasem brał na przechowanie jaki klejnot, czasami ryzykował, kupując z góry całoroczne *feu*.

Ostatniej operacyi dopełniał przy pomocy rachunku prawdopodobieństwa.

— Ile pani ma od występu? Trzy ruble... Ile razy pani może grać przez rok? Czterdzieści... niech będzie pięćdziesiąt razy... to mamy okrągłe sto pięćdziesiąt rubli! — przedstawiał.— Ja dam pani za to z góry sto rubli. Zgoda? całe sto rubli, setkę...

Wobec tak ponętnej oferty, zwłaszcza gdy krawcowa natarczywie zgłaszała się z niezapłaconym rachunkiem, tranzakcya zazwyczaj przychodziła do skutku i wtedy już nie artystka, ale właściwie pan Rebocher *występował,* starając się, rzecz prosta, aby *występy* były jak najczęstsze. Czasem z pięćdziesięciu występów zrobiło się sto!

Ale czyja w tem zasługa, jeśli nie pana Rebochera?

On ryzykował, *gwarantując* pięćdziesiąt występów, a że umiał chodzić koło interesu, że za jego staraniem sztuka i artystka podobały się publiczności, słusznem jest przecie, żeby na

swem staraniu coś zarobił. Artystka i tak miała w zysku «wyrobione» powodzenie.

Zresztą wiadoma powszechnie rzecz, że każde *powodzenie* kosztuje. Pan Herman mógł to rachunkiem udowodnić, każdą pozycyę powodzenia *szczegółowo* obliczyć. Kogo innego kosztowałoby to nawet więcej, lecz ponieważ mój bohater prowadził w tym kierunku interes hurtowy, miał przeto odpowiedni rabat i tańszym kosztem akcyę *powodzenia* przeprowadził.

Przedewszystkiem miał pan Rebocher stały układ z dyrekcyą «klaki,» na mocy którego zarówno «wywoływanie» jak «oklaski» nabywał po zniżonej cenie. Jeśli więc *potrzebował trzymać* którą z klientek, wydawał odpowiednie polecenie i brał koszt *powodzenia* na swój rachunek.

Poza tem drugim środkiem zwrócenia publicznej uwagi na dany talent, do którego pan Rebocher uciekał się niekiedy, była owacya kwiatowa. Podnosiło to cokolwiek wydatek, ale skutek był niezawodny.

— Publiczność jest jak kobieta: zawsze na kwiatek poleci — mawiał mój bohater z głęboką wiarą w skuteczność tej recepty, a łącząc słowa z czynem, założył specyalną agencyę kwiatową i z jej pomocą obsługiwał, dla «dobra» sztuki, żywe kwiaty sceny.

Na zamówienie, po bardzo nizkiej cenie, doręczał na scenie po pierwszym lub ostatnim akcie, zależnie od okoliczności, bukiety, kosze ze wstęgami i napisem, nawet wieńce laurowe i cenne podarki; co do podarków, to te, jako «wynajęte,» wracały po przedstawieniu z powrotem do *agencyi*. Czasami jedna i taż sama «kolia z brylantami» siedmiokrotnie służyła do wzbudzenia owacyjnego efektu.

Pod tym względem zasług pana Rebochera nie doceniano należycie i mało kto wie zapewne, ile «ukwieceń» było dotychczas dziełem oddanego sztuce mecenasa!

A trzeba i to wiedzieć, że cała ta *historya* nie tak wiele znów kosztuje, żeby sobie na nią pozwolić nie można, a mimo to ratuje niekiedy sytuacyę...

Bywało, zrobił pan Rebocher z panną Zetowicz interes z «występami.» Nieszczęście chciało, że *położyła* jedną rolę, zjadliwy krytyk *schla-*

pał dłużniczkę niemiłosiernie. Trzeba było koniecznie *robić powodzenie.* Proponuje tedy pan Rebocher «z dobrego serca» owacyę kwiatową.

— Trzeba myśleć o sobie — radzi strapionej niepowodzeniem «gwiazdce,» — inaczej będzie źle! Co pani sobie myśli? Ani *piszą*, ani *klaszczą*, gotowi rolę odebrać! a z moimi pieniędzmi co będzie? Wie pani co? ja pani małym kosztem zrobię powodzenie... «bukiet,» albo lepiej «kosz» z białą wstążką i złotemi literami. Za głupie trzydzieści rubli będzie pani miała w orkiestrze eleganckie naczynie kwiatów— z szarfą!

— Kiedy nie wiem, czy to wypada?—waha się artystka.

— Nie rób pani naiwnej! Tyle lat pani grywa «naiwne,» można się było już tej naiwności oduczyć! To dobre na scenie! Ze mną pani nie potrzebuje grać... Pisz pani kwitek na pięćdziesiąt rubli, a jeszcze na dzisiejszym spektaklu będzie «kosz» z kameliami i owacya!

Jeżeli przeto następnego dnia po przytoczonej rozmowie pojawiły się w pismach «ciepłe»

wzmianki: «*znakomitej przedstawicielce tytułowej roli, po świetnie zagranej scenie w akcie III-im, grono wielbicieli jej talentu i miłośników teatru wręczyło kosz żywych kwiatów...*» jeżeli *powodzenie* wróciło, to czyja, pytam, w tem zasługa, jeśli nie pana Rebochera?

Pomimo zupełnego oddania się sztuce, zdarzało się jednak, że pan Rebocher z bólem serca nie mógł na razie przyjść komuś z pomocą. Składały się na to rozmaite okoliczności. Czasami «lokalne» warunki — jak zupełne wyczerpanie pensyi, brak biżuteryi i t. d., krępowały działalność pana Rebochera. Wtedy nie mogąc służyć doraźną pożyczką, pośpieszał przynajmniej z dobrą radą, do której zastosowanie się niejednokrotnie polepszało położenie.

— Chcieć, to módz — pouczał w twardych okolicznościach kochający sztukę mecenas. — Niech pani tylko chce, a pieniądze być mogą. Widziała pani ten garnitur u Mankielewicza? Dałbym zaraz *na niego* dwieście rubli! Niech się pani o to postara... Ja wiem, że pani może... jedno słówko wystarczy... trzeba tylko chcieć! *On* dzisiaj będzie na przedstawieniu... Niech

pani o tem pomyśli. Co u *niego* znaczy kupić taki garnitur! bagatelka!...

Nie zawsze dobra rada znajdowała posłuch, często jednak trafiał pan Rebocher na grunt podatny i wtedy, oglądając owoc swych zabiegów, mawiał:

— A co? nie mówiłem! teraz mogę pani dać dwieście rubli. Przy *drugiej* sposobności to pani wykupi z powrotem...

Tak się w zarysach przedstawia *specyalność damska* pana Rebochera; co do *męskiej*, ta nie ustępuje pierwszej w skutkach, chociaż, jak to już na innem miejscu nadmieniłem, mój bohater mniej chętnie do niej zwykł był przystępować, uważając płeć brzydką za drugorzędną podporę sceny.

Jednakże i na *męskiem* polu przeświecają ślady jego działalności w podobnej jak poprzednia formie.

Kilka szczegółów z auto-wspomnień pana Hermana najlepiej tę rzecz oświetli.

Zgłosił się przed paru laty do pana Rebochera artysta z prośbą o pożyczenie pięćdziesięciu rubli. Smutna mina, wzrok melancholiczny

petenta, wzruszyły do głębi serce mecenasa. Zaczął tedy przemawiać doń słowami otuchy i pokrzepienia.

— Nie krzyw się pan—mówił.—Co jest? Potrzeba panu pieniędzy? to *żaden wstyd*... Każdemu się to zdarza... I Kolumb miał talent, miał ładny interes z odkryciem Ameryki, a pieniędzy potrzebował... O co idzie? Pięćdziesiąt rubli? Znajdą się, zgodzimy się... Tylko nie trzeba robić takiej smutnej miny! Poco? Czy pan myśli grać «Hamleta» po Ładnowskim?... Daj pan pokój ze smutkiem, publiczność tego nie lubi... ona woli śmiech.

Przy tej sposobności wygłosił pan Herman trafny sąd o «smaku» warszawskiej publiczności i głęboką uwagę o wyższości śmiechu nad smutkiem.

— O smutek, o zgrzytanie nie trudno w życiu, nie potrzeba ich szukać na scenie! A śmiech to rzadkość, jak pogoda w żydowskie święta. Niech pan o tem pamięta... Jabym nawet radził panu przerobić się na *komyka!*

Artysta, zasilony pożyczką, o tyle poszedł za radą pana Rebochera, że gdy tenże zgłosił się

doń o zwrot pożyczki, przyjął go z uprzedzającym uśmiechem, ale pieniędzy nie oddał... Taka to już wdzięczność ludzka!

Przyszło nawet z tego powodu między stronami do małego starcia, które znów dało wierzycielowi sposobność do wygłoszenia opartego na znajomości sceny zdania:

— Pan jesteś Schylok! — krzyczał artysta.

— A pan krzyczy jak *wojewoda* w «Mazepie,» tylko że ja nie jestem *Amelią*, tylko Rebocher, i moje pieniądze dostanę!—odparł rozgniewany mecenas sztuki i zagroził sądem.

Skończyło się na dopisaniu procentu; przytem zegarek artysty (prezent benefisowy) przeszedł na przechowanie do rodziny Rebochera.

Do najmilszych *męskich* wspomnień pana Rebochera należały wieczory «fredrowskie.» Dawne to już czasy, a jednak tkwią one do dziś w pamięci mego bohatera.

— Niema jak Fredro! — powtarza on przy zdarzonej sposobności z entuzyazmem. — Niema jak Fredro! Co ja na nim zarobiłem! A trzeba wiedzieć, iż żeby nie ja, toby może nie było «Ślubów panieńskich» w Warszawie!

Istotnie do kultu fredrowskiego miał pan Rebocher uzasadnione pobudki.

— To już kawał czasu! — opowiadał w tej materyi. — Mieli grać «Śluby...» Przed samym spektaklem wpada do mnie *Albin* czy *Gustaw*, bo nie pamiętam, jednem słowem amant, i mówi: «Panie Rebocher, pożycz dwadzieścia rubli, bo krawiec nie da garnituru.» Co było robić? jak może być amant bez garnituru? Dałem. «Śluby» były, amant oddał co do grosza i do dziś jestem z nim w interesie... Płaci rzetelnie, a pożyczać lubi, bo ma duże wydatki...zwyczajnie jak amant! Ale bardzo porządny człowiek... co ja już na nim zarobiłem! a to wszystko przez «Fredrę.» Bardzo zdolny autor! bardzo ładne sztuki pisał!

Poza usługami, dającemi się obliczyć na monetę brzęczącą, przychodził jeszcze artystom pan Rebocher z pomocą innego rodzaju, dbając o reputacyę *zewnętrzną* wszystkich członków teatru.

Więc mniej zasobnym adeptom sztuki, którym najczęściej wypada grać role wielkich panów, książąt, wodzów, jednem słowem ludzi bogatych, wypożyczał na czas przedstawienia, za skromną opłatą, precyoza, jakich *dygnitarz* sceniczny potrzebował, grube złote łańcuszki, sygnety i t. d. Prócz tego, dla wygody cór i synów Melpomeny, i z dbałości przytem o ich zdrowie, trzymał pan Rebocher remizę.

— Wypada, aby się państwo czasem przejechali w Aleje dla parady — radził. — Ja państwu dam bardzo ładny ekwipaż... policzymy się później...

A i na koniach znał się pan Rebocher nieźle, grywał bowiem w «totalizatora,» nie tyle dla zysków może, co z życzliwości dla aktorów, którzy chętnie plac Mokotowski w porze wyścigowej nawiedzali.

Niejednemu *spłókanemu* w «pierwszym» biegu służył pożyczką na *dogodnych* warunkach, dając artyście w ten sposób możność *odegrania się.* A każdemu prawie radził, na którego konia stawiać.

— Panie kochany — mówił, potrząsając «dodatkiem wyścigowym,» — patrz pan, co tu stoi! Patrz pan, co moja córka podkreśliła... Ona ma przeczucie! to druga Eusapia Palladino, słowo honoru! Graj pan na *piątkę* «zwyczajną,» a *Reszkego* na «francuski.» Ja panu radzę, a i «Jeździec» to samo pisze.

Rzecz prosta, iż tego rodzaju postępowanie zjednało panu Rebocherowi w artystycznym świecie ogólną sympatyę i zasłużone miano «dobrodzieja.»

Cieszył się tem uznaniem przez długi szereg lat niepodzielnie, aż do chwili otwarcia «kasy artystów.»

Nowa instytucya do pewnego stopnia stanęła w poprzek działalności teatralnego dobrodzieja.

Nie był też jej zwolennikiem pan Rebocher— raz, że, jego zdaniem, każda instytucya, jako ciało *zbiorowe*, ujemnie oddziaływa na rozwój *indywidualny*, powtóre, iż, jak to już przykłady przeszłości stwierdzały, talent (bez względu na rodzaj), potrzebując podniety, w niedostatku wzbija się na wyżyny, a z dojściem do względnej zasobności rdzewieje.

— Artysta nie jest stworzony do oszczędności — żalił się pan Rebocher. — Jak tylko ma pieniądze, zaraz mu się spekulacyi zachciewa! Nie pilnuje swego i traci... Miał Morozowicz pieniądze, zachciało mu się robić «wino krajowe»... I co? Wino dyabli wzięli, a talent został! Zresztą, poco *kasa*, kiedy ja jestem? Te nowe *wynalazki* to tylko *zepsucie*.

Złote słowa! Ileżby to ludzkość zyskała, wróciwszy do form pierwotnych!



CHIL ESELPFERD.



PRYWATNY.

Które z instytucyi warszawskich użyteczności publicznej należą do najpopularniejszych? Jak myślicie?...

«Towarzystwo Muzyczne...» «Zachęty Sztuk Pięknych...» «Wioślarskie...» «Cyklistów» wreszcie...

Nie! nie! i jeszcze raz nie!

Najpopularniejszemi w syrenim grodzie są instytucye lombardowe.

Gdyby pożyczka *lombardowa* dawała prawo głosu, jak n. p. pożyczka w «Towarzystwie Kredytowem Miejskiem,» śmiało twierdzić można, iż w takim razie w głosowaniu wzięłaby udział

toute Varsovie z Pragą i Szmulowizną razem! Tak popularną jest działalność «lombardów prywatnych!»

Twierdzenia mego nie opieram na bezdowodnem widzimisię.

Mam pod ręką wymowne dane statystyczne jednego z zakładów kredytowych i na mocy ich do powyżej przytoczonego doszedłem wniosku.

Sama zresztą wysokość pożyczek wymownie świadczy, że bynajmniej nie ulegam złudzeniu.

Jeśliby kapitał obrotowy w wysokości 10,000 rubli (a takim operuje instytucya mego *dobrego* znajomego, Chila Eselpferda) podzielić na pożyczki 100-rublowe, rzecz prosta, że popularność zakładu mieściłaby się jednorazowo tylko w sercach stu ludzi, co w terminach miesięcznych uczyniłoby w ciągu roku 1,200 pożyczek, rozdanych takiejże liczbie indywiduów.

Jednakże księgi handlowe i kwitaryusz Chila Eselpferda mówią co innego. Na mocy tych «sznurowych» dokumentów, nie ulegających zaprzeczeniu, doszedłem do następującego prejudykatu statystyczno-finansowego. Pożyczki, udzielane na zastaw ruchomości przez lombardy

prywatne, podzielone na kategorye, względnie do wysokości wypożyczanych sum, przedstawiają się procentowo jak następuje:

a) Pożyczki od 50—100 rub. = 1%
b) „ „ 25— 50 „ = 10%
c) „ „ 10— 25 „ = 15%
d) „ „ 5— 10 „ = 20%
e) Pożyczki poniżej 5 rub. = 54%

Co się tyczy terminów płatności pożyczek, prolongat i wykupu zastawu, to wliczając w ogół tranzakcyi i tak zwany «*latający tużurek,*» możemy uznać za *termin przeciętny* w stosunku rocznym okres *dwutygodniowy.*

O «Latającym tużurku,» nie mającym żadnej łączności z «Latającym Holendrem,» pomówię później; obecnie, aby nie stracić wątku, wracam jeszcze do statystycznych dowodzeń.

Na fundamencie przytoczonych cyfr z pomocą «czterech działań» z łatwością można zbudować gmach popularności lombardów prywatnych.

Spróbujmy.

Większość operacyi, bo 54% ogólnego obrotu, to pożyczki 1—5-rublowe. Innemi słowy

5,000 rubli kapitału zakładowego znajduje lokatę na drobnych hypotekach surdutów, chustek, paltotów, zegarków i t. d. Powyższy kapitał w pełnym ruchu przedstawia *minimalnie* 1,000 pozycyi kredytowych, odnawianych co drugi tydzień, a więc 26,000 pozycyi rocznie. Gdybyśmy przeto nawet z niejakiem uprzedzeniem zapatrywali się na wymowę cyfr i na *manco* przewidywanej martwoty części kapitału odtrącili całą jego połowę, to i tak z zupełną pewnością twierdzić możemy, że jeden zakład mego przyjaciela, Chila Eselpferda, obsługuje w ciągu roku 26,000 Warszawiaków lub Warszawianek, bo w lombardach pod względem płci panuje, jak wiadomo, równouprawnienie.

A takich zakładów liczy Warszawa kilkanaście.

Pokażcież mi przeto bardziej popularną instytucyę! instytucyę o więcej rozgałęzionych stosunkach finansowych! instytucyę lepiej w potrzeby ludności wnikającą!!

Do najtrudniejszych umiejętności ekonomicznych należy nauka udzielania kredytu. Stanowi ona jądro i podstawę wszystkich operacyi

finansowych świata, zajmuje tysiące, ba! miliony rąk; w dziale tym najtęższe pracują głowy.

Na czele instytucyi kredytowych stoją zwykle potęgi finansowe, kierując skombinowaną czynnością różnorodnych pożyczek, a choć główną zasadą wszelkich pożyczkowych operacyi jest: «dać jak najmniej, a odebrać jak najwięcej,» to zasada ta, w teoryi łatwa, w praktycznem zastosowaniu rozłożona na samo oprocentowanie, amortyzacyę, kapitał zapasowy, rezerwowy, wydatki administracyjne i inne *nieprzewidziane* wydatki, wymaga niezwykłej biegłości w oryentowaniu się między sumą, którą *dać można*, a sumą, jaką *odebrać trzeba*.

Zadanie to, wogóle nie łatwe, w najłatwiejszym nawet podgatunku kredytu, kredycie hypotecznym, pochłania wiele czasu i zatrudnia wiele głów przy każdym pojedynczym interesie.

Najbłahsza pożyczka Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego nie da się przeprowadzić bez podziału pracy. Chcąc ją dostać, trzeba pisać podanie, puścić w ruch delegacyę taksową, opinię dyrekcyi «szczegółowej,» zatwierdzenie «gło-

wnej» i «komitetu,» wreszcie hypotekować otrzymaną seryę listów zastawnych w księdze wieczystej i dopiero schować walory w kieszeń, o ile na to inni wierzyciele pozwolą.

Lombard ma tę wyższość nad innemi instytucyami, że tam tego wszystkiego nie potrzeba, a głównie, iż pożyczka dostaje się zawsze do własnych rąk pożyczającego.

Na przykład w osobie mego znajomego, Chila Eselpferda, mieszczą się i delegacya taksowa, i wszystkie decydujące dekasterye, i rejent i księga wieczysta!

On szacuje zastaw, decyduje o wysokości pożyczki, on wypłaca wreszcie. Niestrudzony zaiste człowiek! a co za biegłość! Rzuci okiem... raz... dwa... «dam tyle a tyle,» mówi i basta! Niema rekursu.

Do takiej *skrystalizowanej* w jednej osobie czynności nielada osoby potrzeba. Najmniejsza omyłka w szacunku grozi poważną stratą, bagatelne niedopatrzenie łaty lub dziury w odzieży, niedość skrupulatne rozejrzenie się w werku zegarkowym może spowodować *niewykupienie*, drobna skaza w błamie futra zmienia doszczętnie wartość zimowego przyodziewku, a marka stanowi nieraz o faktycznem *pretium* roweru.

Na tem wszystkiem znać się trzeba, ocenić w mig, bo na dłuższy namysł czasu niema; obliczyć miesięczny procent, należność za *przechowanie* i *asekuracyę*, i wytargować się w dodatku z klientem, który zwykle więcej żąda, niż dać mu można.

Jednakże Chil Eselpferd przy pomocy swego wnuczka, Aronka, wszystkiemu daje radę i nigdy jeszcze jeden rubel, z wyjątkiem sabatu i świąt, w jego kasie bez obrotu nie nocował.

W tranzakcyach łatwy, nie grymasił nigdy, nie *ganił*, ale brał wszystko, co kto przyniósł, od łyżeczki srebrnej do surduta, od damskiej bluzki do futra, od laski ze srebrną skówką do roweru.

Ostatni artykuł był poniekąd specyalnością finansisty. Chil Eselpferd i jego wnuczek Aronek kochali się w sporcie kołowym i przez chętne uruchomianie kapitału, zawartego w kołowcach, przyczynili się niemało do powodzenia klubu na Dynasach.

Zarówno sam Eselpferd, jak i Aronek, znali się, rzecz prosta, na rowerach wyśmienicie. W kąt wszyscy *championi* wyścigowi!

Bywało, z pierwszym przymrozkiem listopadowym (bo tranzakcye rowerowe odbywały się zwykle w porze zimowej), zjawia się z «maszyną» w zakładzie Eselpferda cyklista.

— Co panu dać? — pyta, oglądając «torówkę,» finansista.

— Pięćdziesiąt rubli. Prawie nowa...

— Kpij pan zdrów! Na taki gruchot, «dętkę?!...» Kto na tem teraz jeździ?! Chcesz pan na jedno słowo... dam... dwadzieścia pięć...

— Ee... — oponuje cyklista.

— Przywieź pan prawdziwego *Humbera*... dam całe sto nawet! — odpowiada niewzruszony taksator i z najzimniejszą krwią bierze się do innej roboty.

Wobec takiego «znawstwa» tajników cyklowych właściciel «dętki» zgadza się w końcu na dwudziestopięciorublową pożyczkę i tranzakcya gotowa.

Procent... przechowanie... kwit... pieniądze...

A gdyby się Eselpferd nie znał na rowerach, czyż nie mógłby *wpaść* na całe dwadzieścia pięć rubli *plus-value*??

Jedynie dla wykazania niezwykłej biegłości taksatorskiej przytoczyłem powyżej operacyę zastawniczą i z artykułem tak mało rozpowszechnionym jak rower, artykułem wpisanym do księgi *A* pożyczek od 25—100 rs. wynoszących, gdyż powodzenie «domu handlowego» Chila Eselpferda nie gruntowało się nawet w setnej części na tranzakcyach tego rodzaju.

Wprawdzie i zbytek, i dostatek i próżność ludzka dostarczały mu klientów, pukały wprawdzie do pożyczkowej skarbnicy wykwint i wytworność niekiedy, chroniły się także pod opiekuńcze skrzydła instutucyi lekkomyślność z marnotrawstwem, lecz najczęstszym i najpożądańszym bywała tu gościem praca twarda, znój, pot kroplisty, niedostatek, nędza...

Fundament zakładu finansisty opierał się nie na doli, co mija, lecz na niedoli, której, póki słońca starczy, nie zbraknie. Bieda, bezowocny wysiłek, choroba, co na łoże boleści powala, łzy, smutek, rozpacz, wszystkie te czynniki, co się na

egzystencye bez jutra składają—one to głównie dostarczały żyznego podściołu pod plon lombardowego posiewu mego bohatera.

Nie złoto, nie klejnoty, cyzelowane cacka, futra kosztowne, lecz odzież wyrobnicza, przesiąkłe potem narzędzie rzemieślnika, sprzęt wdowi, pamiątka sieroca, dostarczały pewnej lokaty dla kapitałów finansisty.

Z szeregu postaci, które co dnia kołatały po zasiłek do ofiarnej kasy Eselpferda, rzadko która przychodziła z suchem okiem, z sercem lekkiem.

Z tej właśnie genezy pożyczek wystrzela promień czystej dobroczynności!

Z jakąż radością wyciągały się nieraz spracowane dłonie po te drobne kwoty! z jakim pośpiechem wybiegały z eselpferdowskiej «Mons pietatis» złamane matek postacie, śpiesząc z osiągniętym kapitałem po lekarstwo dla dziatek!

A gdyby tak Eselpferd nie dał? To co?

Odpowiedź łatwa i słuszna. Głód, bieda, rozpacz, czasem śmierć nawet, miałyby jeszcze większe żniwo...

W zapale nadużyłem melodramatycznego tonu, co w pogawędce ekonomicznej mogłoby mi być słusznie za błąd poczytanem. — przyrzekając przeto w dalszym ciągu poprawę, wracam do opisu tranzakcyi z «Latającym tużurkiem,» stanowiącej *cause célèbre* dobroczynnej działalności Chila Eselpferda.

Historya «Latającego tużurka» krótka i prawdziwa jak aforyzm. Bo też «Latający tużurek,» to poniekąd aforyzm lombardowy.

Posłuchajcież prawdziwej historyi, postaram się ją odtworzyć z fotograficzną wiernością.

«Poniedziałek. Godzina ósma rano. Dziadzio Chil i wnuczek Aron otwierają podwoje dobroczynnej instytucyi. Skrzypnęły zamki i wrzeciądze. Kapitaliści zasiadają za *comptoir'em.* Na schodach słychać przyśpieszone kroki. Za chwilę uchylają się drzwi i do lombardu wbiega z zawiniątkiem pod pachą gość pierwszy. To Józek, czeladnik ślusarski.

— Co pan powie? — pyta Chil.

Przybyły pokazuje zawartość zawiniątka.

— Co dać?—pyta dobroczyńca, oglądając pod światło czarny z aksamitnym kołnierzem tużurek.

— Chciałbym cztery...

— Dam trzy... Pisać?

Potakujące skinienie głowy. Skrzypi pióro... potem miarowy zgrzyt nożyc, wycinających kwit ze sznurowej książki, potem jeszcze zielony papierek i... koniec *pierwszego tomu* mej historyi.

Tom drugi. Upłynęło dni sześć. Niedziela. Godzina ósma rano. Instytucya już otwarta. Szczęknęła klamka, poruszona dłonią. Do komnaty wchodzi Józek czeladnik z kwitem w ręku. Chil wyciąga rękę, bierze kwit, liczy... procent, przechowanie, asekuracya, razem *trzy ruble czterdzieści kopiejek.* Józek płaci. Aron podaje odwoniony naftaliną tużurek.

— Ja tu jutro przyjdę — rzecze na odchodnem Józek.

— Tylko nie zniszczyć tużurka, bobym nie dał trzech rubli — ostrzega dziadzio Chil, wymieniając chytre spojrzenie z wnukiem.

I... koniec tomu drugiego.»

Taka jest historya «Latającego tużurka.» Wychodzi ona w dwóch tomach, co tydzień w nowem wydaniu, przez cały rok Boży, w dużej

ilości egzemplarzy, bo takich Józków, zastawiających w poniedziałki odświętne szaty, a wykupujących je w niedzielę, nie brak na warszawskim bruku.

To najlepsza klientela mego finansisty. Nie zawiedzie ona nigdy, pojawia się punktualnie w odstępach sześciodniowych, bierze *trzy,* a zwraca *trzy ruble czterdzieści* kopiejek, przekształcając miesięczną pożyczkę na papierze w tygodniową, cztery razy na miesiąc odnawianą.

Jest to uproszczenie dla obu stron bardzo dogodne. «Latający tużurek» wysługuje się obu kontrahentom. Józkowi w niedzielę przez godzin kilka lub kilkanaście, finansiście przez dni sześć z małym procentem od «depozytu,» obliczonym w stosunku miesięcznym, bo inaczej ustawa nie pozwala, a Chil Eselpferd ściśle trzyma się prawa.

Gdyby chciał Józek, mógłby cały miesiąc nie chodzić w tużurku, ale że chce inaczej, że potrzebuje w niedzielę jechać wystrojony na Saską Kępę, że lubi ładnie wyglądać na spacerze, toć Chil nie może krępować niczyjej woli i chociaż ma subiekcyę z wpisywaniem

i wypisywaniem zastawu, bez zmarszczenia brwi spełnia życzenia Józka i co tydzień odnawia tranzakcyę.

Nie czyni tego dla głupiego zarobku, wynoszącego 1 rub. 60 kop. na miesiąc od 3 rubli, nie! On robi ustępstwo, wchodząc w położenie drugich, wiedząc, iż Józkowi w niedzielę tużurek koniecznie potrzebny, że mu się słusznie po całotygodniowej pracy rozrywka w przyzwoitej szacie należy; bo «jak cię widzą, tak cię piszą!»

Gdyby w miesiącu była tylko *jedna* niedziela, Chil nie miałby przecie o to do Józka pretensyi; niechże więc i Józek nie ma żalu do Chila za *cztery* niedziele. Przecież Chil Eselpferd kalendarza nie układał! nacisku na Józka nie wywiera, na wszystko się zgadza, a że *pisze* i *liczy,* bo na rachunku świat stoi.

Do takich wniosków doprowadzić może każdego bezstronnego badacza historya «Latającego tużurka» we wszystkich odmianach i rodzajach, i tylko bezpodstawna złośliwość ludzka może między Józkiem a Chilem wynaleźć *fata morganę* punktu do oszustwa i wyzysku!

Co do mnie, trzymam się faktów i nadal trzymać będę, a choć przykład Arystydesa każe mi powątpiewać w sprawiedliwość idących owczym pędem tłumów, mam jednak niejaką nadzieję, że z czasem prawda zatryumfuje, zmilkną głosy oszczercze, a większość zbłąkanych przejdzie na stronę *uciśnionego* Chila Eselpferda, pisząc jego imię złotemi zgłoskami na kartach *dobroczynnej* Warszawy.

Niechże więc w dalszym ciągu fakta mówią.

Zwykła reguła zwrotu — *redde quod debes,* przeplatana terminowemi prolongatami z wnoszeniem procentów, nie natrafiałaby zapewne w systemie lombardowym na większe trudności, gdyby zdolność pamięciowa dopisywała w jednakowej mierze wszystkim interesowanym. Niestety, zdarzały się wypadki przytępienia pamięciowego, powodujące nieregularność wpływów, a częstokroć mus poszukiwania zakredytowanych sum z pomocą represalii licytacyjnych. Niekiedy również sam regularny nawet wykup fantów dostarczał wątku do sporu. Słuszność każe nadmienić, iż w takich wypadkach dziadzio Chil trzymał się zawsze litery prawa, opartego na dokumencie piśmiennym.

Bywało... zachodzi do lombardu jegomość z zamiarem zaciągnięcia pożyczki. Przedstawia fant, dziadzio Chil taksuje. Może dać sześć rubli. Przybyły zgadza się po namyśle. Aronek wypisuje kwit. Następują powtórne oględziny zastawu, szczegółowsze zbadanie wartości. Aronek robi skromną uwagę, że przedstawiony przedmiot nie wytrzymuje zadeklarowanego szacunku. Chil, uznając słuszność spostrzeżeń wnuka, cofa pierwotną ofertę. Więcej nad pięć rubli dać nie może. Interesant, przyparty do muru, po krótkiej opozycyi ostatecznie zgadza się na zniżkową poprawkę. Ale kwit napisany, marka przylepiona... Szkoda marki! Tymczasem nadchodzą inni interesanci. Kierownicy instytucyi nie mają czasu na długie ceregiele... W «pośpiechu,» przez *prędkość,* nie zrobiono poprawki w dokumencie. Zastawiający wziął pięć rubli i kwit obciążony pożyczką sześciorublową.

Stało się... wypadek! przepomnienie!..

We właściwym terminie zjawia się zastawiający po wykup fantu. Chce płacić: pięć rubli kapitału, procent i koszta «przechowania...» Ale kwit opiewa: na sześć. Sprawdzić—trudno. *Verba volant, scripta manent.* Daremnie przypomina okoliczności, towarzyszące pożyczce. Trzy miesiące temu... kawał czasu! Ile to interesów przez ten czas przewinęło się przez ręce Chila! Trudno w takim nawale pracy pamiętać o każdej bagatelce. Zresztą na to jest kwit... co napisane, to święte!

— Niech pan nie zawraca głowy! — mówi przeto oburzony natręctwem dłużnika finansista.

— Dzika pretensya!—wtóruje wnuk.

— Kto nie dołoży okiem, ten dołoży workiem—konkludują obaj.

Niema rady, dłużnik płaci «zapisaną» sumę, a jeśli na odchodnem wyrwie mu się jakie nieobyczajne słowo—tyle jego! Na «pismo» nawet świadkowie nie pomogą...

Takie «staccata» finansowe rzadko miewały dla instytucyi gorsze następstwa, wracała chwilowo zakłócona harmonia i sprawy lombardowe szły zwykłym trybem. Dużo więcej kłopotu miał mój bohater z fantami zupełnie niewykupionymi. Przedewszystkiem trzeba było urządzić licytacyę, a urządzić tak, aby w niej stek ludzi «niepowołanych» nie brał udziału. Gdzie

kucharek sześć, tam niema co jeść... gdzie dużo licytantów, licytacya nigdy zgodnie przeprowadzić się nie da. A wiadomo, że *zgoda* buduje...

O zgodę w takich wypadkach dość trudno. Namiętności ludzkie nie znają hamulca, a łakomstwo, łapczywość zarobku cudzym kosztem jest, niestety, powszednią wadą handlujących.

Zapobiegać wadom, nie dodawać bodźca złym instynktom, mogącym wybuchnąć podczas licytacyi, było jedynem dążeniem lombardzisty.

Przedewszystkiem więc starał się o *dobór* osobników licytujących, nie szczędząc usiłowań, aby pomienione licytacye odbywały się ściśle w kółku rodzinnem. Że jednak w najporządniejszej familii zdarzyć się może «duch niespokojny,» kalający własne gniazdo i licytujący zapalczywie *in plus*, przeto Chil Eselpferd, dla uniknięcia przypadkowego rozbudzenia zwyżkowej żyłki, przeprowadzał istną metamorfozę sprzedawanych zastawów, z pomocą odpowiednio dobranej kolekcyi «słomianych fantów.»

Metamorfoza odbywała się w wielkiej tajemnicy, przy zastosowaniu wszelkich środków ostrożności. Przedewszystkiem należało się upe-

wnić, czy przypadkiem któremu z właścicieli zastawów nie przyjdzie ochota zjawić się na licytacyi. Skoro tylko Chil Eselpferd, z pomocą psychologicznych rozumowań i informacyi wywiadowczych, uzyskiwał tę pewność, to sprawa była w połowie wygraną. Pozostawało tylko dokonać zamiany, podstawić kopie za oryginał, a wtedy skutek nie zawodził, na fanty nie było amatorów i zastaw pozostawał przy lombardzie, nabyty za sumę pożyczki.

Przykład z futrem, oszacowanem na 50 rubli, a obniżonem na 45-rublową pożyczkę, najlepiej manipulacyę metamorfozy objaśni.

W książce było zapisane: «futro bobrowe, z bobrowym kołnierzem, pokryte granatowem suknem.»

Pokazać takie futro na licytacyi, to od razu zrobi się krzyk: pięćdziesiąt! pięćdziesiąt pięć! sześćdziesiąt!.. gotowi do stu rubli licytować!

Poco? Właściciel nieobecny, a futra nikt nie zna przecież!..

Futro? będzie futro. Bobry? będą bobry. Granat? jest granat... Pięćdziesiąt rubli! kto da więcej? Licytanci oglądają wzruszając ra-

mionami. Pięćdziesiąt rubli?! dwudziestu nie warto! Pokrycie nicowane... a bobry... lepiej nie gadać. Głowa klubowców z «Biednej dziewczyny» ma lepsze upierzenie... Zrobił Chil feler w taksie, dał za dużo, niech będzie on stratny... niech sam takie łachy kupuje... Będzie miał naukę na drugi raz!.. Niema rady.

W braku licytantów «stare» futro zostaje za sumę pożyczki w lombardzie. — A «nowe?» «Nowe» sprzeda się z wolnej ręki, a może Aronek będzie w niem chodził, bo jak raz pasuje na jego figurę.

Podobnie jak z bobrowem futrem «z bobrowym kołnierzem,» można pod nieobecność właściciela urządzić na licytacyi metamorfozę z zegarkiem «ankier o dwóch kopertach złoty» z dewizką «z brelokiem» i z każdym zresztą innym fantem. Należy tylko na *kopii* przyłożyć karteczkę numerowaną *oryginału*.

Jest w tem trochę subiekcyi, szczypta niebezpieczeństwa, ale w życiu ludzkiem nic bez trudu nie przychodzi.

Człowiek stworzony jest do walki z przeciwnościami, cofać się przed niebezpieczeństwem

nie powinien, gdyż, jak słusznie śpiewa poeta: «trzeba mieć odwagę, nie tę jednodniową, co w nadzwyczajnych przedsięwzięciach pryska, lecz tę, co zawsze z podniesioną głową, nie da się zepchnąć ze swego stanowiska!»

Taką «odwagę» ma Chil Eselpferd. Losy postawiły go na skromnem stanowisku właściciela lombardu. Niezrażony przeciwnościami, stoi on wytrwale na zajętym posterunku, przez cały rok, z wyjątkiem sabatów, rozwija dobroczynną działalność na «nizinach» kredytowych, przecząc i przeciwdziałając maksymie Malthusa, skazującego na zagładę tych, którym przy wielkim stole przyrody zbrakło nakrycia.

Chil Eselpferd znalazł antydot na biedę — lombard prywatny. Kto ma *fant,* może się spóźnić do *stołu przyrody,* Chil pożyczy, a restauracya otwarta prawie do godziny 4-ej w nocy. Idzie tylko o *fant,* bo z próżnego nie tylko Chil, ale i sam Salomon, jak mówi przysłowie, nie naleje.

KONIEC.